

Poniższy dialog jest przykładem takiej „typowej” otryckiej wymiany usług naukowych:

Tadeusz:

Pytanie mam takie: ile może ważyć bukowa deseczka o wymiarach 38 na 22 cm, grubości 0,5 cm, dobrze wysuszona?

Julo:

Jakby Ci tu odpowiedzieć?

Jak humanista: tyle, co nic.

Jak matematyk: kubik wyschniętej, przetartej buczyny waży ok. 700 kg. Więc $0,38 \times 0,22 \times 0,005\text{m} = 0,00456\text{m}^3 \times 700 = 0,3192 \text{ kg}$.

Tadeusz:

Teraz wiem, że ponad trzydzieści takich tabliczek to wcale poważny bagaż dla żołnierza-tulacza, co jest istotnym argumentem w pewnym sporze historycznym.

Jak Ostatki, to zaraz Wielkanoc. A jak Wielkanoc, to życzenia od przyjaciół. Przeważnie sms-em. Więc na koniec właśnie o tym.

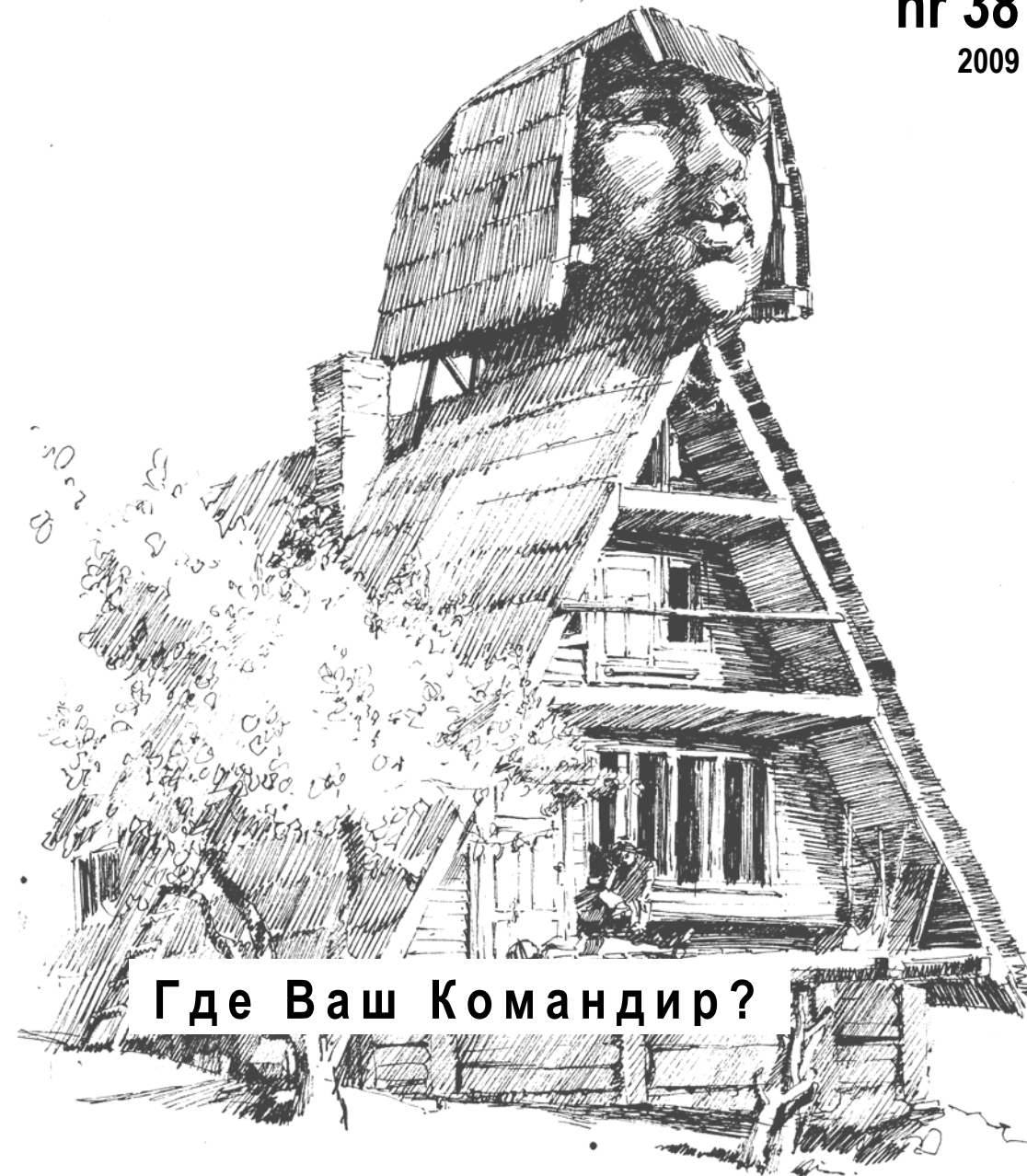
MIEĆ PRZYJACIÓŁ...

Mieć przyjaciół to piękne,
Więc zawsze pamiętaj
By wysyłać życzenia
W nadchodzące święta.

Szczęścia, zdrowia, radości
Nigdy nie za wiele.
Tobie także życzenia
Przyślą przyjaciele.

Jakaż radość pomyśleć,
Że znów przyjdzie bez liku
Od kochanych przyjaciół
Kretyńskich wierszyków.

Julo



Где Ваш Командир?



WSTĘPNIAK

Po uroczystych, podniosłych i hucznych obchodach 35-lecia Chaty Socjologa, połączonych z symbolicznym zakończeniem kolejnego w historii pionierskiego etapu, po odsłonięciu pamiątkowych tablic - na Otrycie wróciło życie. Życie, które dzieje się, spontanicznie przelewając kolejne dni z bańki do bańki, nie zważając na plany i w nosie mając konsekwencje. Otwiera się pole do zagospodarowania przez kolejnych pionierów oraz przestrzeń powrotów. Nieobecność Командира może pomóc, aczkolwiek ostatnie tragiczne wydarzenie napomina nas, że nie wolno nam nigdy utracić kontaktu z Командиром wewnętrznym.

Waldek Dymarczyk wyjechał z silnym postanowieniem wydania jubileuszowego numeru Biuletynu Otryckiego. Tak jak w życiu - nie do końca wyszło wszystko zgodnie z planem, niemniej mobilizacja przyniosła efekt: pierwszy po prawie równo trzech latach numer Biuletynu Otryckiego.

Igor Czajka

16 stycznia 2009 roku Jarek Falkowski wyszedł przed południem z Chaty, by zrobić zakupy i przy okazji kilka zdjęć. Zamienił w sklepiaku w Dwerniku kilka zdań i poszedł robić zdjęcia nad San. Jarek zameldował się po powrocie znad rzeki, po czym wyszedł w kierunku Chaty tak, by spokojnie za dnia do niej dojść. Ale nie doszedł.

W tym czasie na Górze zastanawiali się, dlaczego Jarek nie wraca. Czy chce ich wystraszyć? O co chodzi. Po powrocie ekspedycji Gospodarz zadzwonił do kilku zaprzyjaźnionych miejsc gdzie Jarek mógł się zatrzymać. Nigdzie go nie było. Zadzwonił więc do GOPR-u. GOPR po kilku godzinach znalazł Jarka. Zamarzniętego.

Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Jarek należał do zaprzyjaźnionej grupy studenckiej z Białegostoku, od lat przyjeżdżającej do Chaty Socjologa na Otrycie. Wyrażamy ogromny żal z powodu tej tragedii.

Niech ten wypadek będzie przestrogą, dla wszystkich turystów, niedoceniających zimowych warunków w Bieszczadach.



jakim cudem nam się udało? Co nas pchało do przodu?

Tylko jedno: WIARA. Nic więcej nie mieliśmy. Zupełnie jak ja na początku lat 90-tych, gdy udało mi się wskoczyć do ostatniego wagonu pociągu zwanego „kapitalizmem” i założyć z dwoma Duńczykami spółkę „Jutor”. I zupełnie jak na początku lat 80-tych, gdy przerażony poinformowałem mojego tatę, że Beata jest w ciąży i będę się żenił. Tata odpowiedział: „co się martwisz, Pan Bóg dał dziecko, da i na dziecko”. No i dał (na troje!).

Propagowałem Otryt jak mogłem na wszelkich moich konferencjach budowlanych. Zwłaszcza, że musiałem „pozyskiwać” (cyt. z Krzysiaczka) materiały budowlane. Pokazywałem filmy „Otryckiej Wytwórni Filmowej” (cyt. z Radnego), opowiadałem o idei „bycia razem” (cyt. z Igorka), próbowałem wpleść w serię prezentacji firmowych motyw abstrakcyjny. Któregoś razu po takiej prezentacji zawisł mi u gardła mój kolega, właściciel sporej firmy produkującej ok. 70 domów rocznie (głównie dla Hiszpanii) i po paru głębszych zdobył się na szczerze pytanie:

- Julio, ty nie p...dol, tylko ty mi powiedz: CO TY Z TEGO MASZ?

Nie wiedziałem „co ja z tego mam”, ale musiałem coś racjonalnego odpowiedzieć. Wzniosłem się na szczyty intelektu i spytałem kolegę:

- Masz dom letni?
- Mam.
- A twoi koledzy mają?
- Mają.

- I co – odwiedzacie się?

- A, daj spokój, ciągle są klótnie: „ostatnio byliśmy u ciebie, to teraz przyjdźcie do mnie”. No i kilka razy mnie okradli. Wszystko wynieśli. A włożyłem tyle, że już bym dwa domy letnie wybudował.

- No widzisz. A ja mam dom letni na spółkę z 40-tką przyjaciół, z którymi lubię spędzać czas, przyjeżdżam kiedy chcę, chaty pilnuje gospodarz, a kosztuje mnie to tylko 300zł rocznie.

Kolega popadł na chwilę w zadumę.

- Ty wiesz, to niegłupie. Teraz rozumiem.

G... rozumiał, a ja też niewiele więcej. Dopiero teraz wiem, że Chata dała mi więcej, niż ja jej. Odbudowa Chaty pomogła mi uwierzyć, że „chcieć to móc”. Że, skoro udało się postawić taką zaje... konstrukcję, w takich warunkach i wbrew logice, to przecież musi się udać w normalnych ramach. W przekonaniu tym utwierdzali mnie tacy wariaci jak Maras, Iwan i Wojtek, którzy byli gotowi skoczyć ze mną w głęboką wodę, żeby nauczyć się pływać. Opiliśmy się sporo tej zimnej wody, ale jest coraz lepiej. Budujemy domy z drewna i mamy już czym się pochwalić.

Otryt zmienił moje życie.

Dał mi wiarę.

Juliusz „Julo” Głowacki

Ps. Beata właśnie przeczytała ten tekst i wystawiła krótką recenzję: „Dzień dobry, mam na imię Julo, mam 50 lat i jestem Otrytczykiem” ☺



bardziej doświadczony. Jednak decyzja to trudna, zwłaszcza, jeśli jest się ...koziorożcem. My nie podejmujemy decyzji ot tak: hop siup. O, nie! Nie jesteśmy spontaniczni, ani wyluzowani. Za to uczciwi i solidni (a to dodatkowy balast).

Przyszł Sylwester 2006. Oczywiście w Chacie. I cudowne, niezapomniane, wyjątkowe urodziny dzień wcześniej. W amoku alkoholowym irracjonalne poczucie buntu, które narastało we mnie od kilkudziesięciu miesięcy pękło jak wrzód. Wracałem do Warszawy obolały, ale pewny swego.

Styczeń upłynął mi w firmie na pakowaniu kilkunastu lat w kartony. Co kilka dni wywoziłem kolejną porcję swoich zbiorów. Firma była moim drugim domem i nabierało się tego.

Z końcem stycznia miałem wizytę mojego nowego szefa na Europę - Martina. Typowy yuppie – mógłby równie dobrze sprzedawać złącza ciesielskie jak bieliznę damską. To mi pomogło – mój stary szef przed odejściem na emeryturę powiedział, że wierzy we mnie. Ten mnie nie znał, byłem jakąś tam figurą na wielkiej szachownicy biznesu.

Martin przepytał mnie ze wszystkich możliwych liczb i wskaźników świadczących o progresie. Odpowiedziałem na circa 50% pytań. Kierując się instynktem zawodowego tropiciela spytał: „Julek, czy ty aby chcesz tu jeszcze

pracować?” Wziąłem głęboki oddech i odpowiedziałem: „właściwie to już nie”. „Tak właśnie czulem” odpowiedział Martin. Potem, ucieszeni zgodnością poglądów na temat mojej przyszłości w firmie Simpson, ustaliliśmy tylko termin wypowiedzenia, odprawę i pare



innych prozaicznych rzeczy, które pozwoliły mi przeżyć kilka następnych miesięcy. I odpalić swoją nową firmę... „Jutor”.

Myślałem: co tak naprawdę umożliwiło odbudowanie Chaty? Przecież, gdybym złożył w firmie Simpson taki projekt odbudowy, jaki mieliśmy w Klubie Otryckim, wywaliliby mnie na zbity pysk dyscyplinarnie. O, na pewno nie „za porozumieniem stron”! Więc



Где Ваш Командир?

Było to w rok, albo dwa, po stanie wojennym. Jeden z pierwszych wyjazdów w Bieszczady. Pamiętam, skrzyknąłem grupkę kolegów i jedziemy. Wówczas wyprawa w nieznane, jeszcze nie na Otryt. Wybraliśmy wariacką trasę. Do Przemyśla, a stamtąd dalej, do Ustrzyk via Sovietskij Sojuz, który jeszcze trzymał się mocno. Ktokolwiek jechał, ten wie: pociąg zatrzymuje się w szczerym polu. Z baraku wysypują się żołdacy i zajmują miejsca u wejść do wagonów. Kalachy na plecach, gogle na kaukaskich oczach; очень серьёзно.

Był to czas, kto to pamięta, gdy większość ludzi podróżowała publicznymi środkami transportu. W czasie wakacji skutkowało to takim tłokiem, że zajęcie miejsca w przedziale pociągu pozostawało jedynie marzeniem. Tak też było w naszym przypadku. W niemożliwym tłoku udało się jednak zająć strategiczne miejsce pomiędzy kibelem a łącznikiem wagonów. Przy tym, całkiem sprawnie, zablokowaliśmy przejście. Wśród naszych niechcianych towarzyszy podróży, żołdaków czyniących призор, był także лейтенант-поручник. Zadaniem owego wysłannika władzy, było udrożnić przejście dla swych podkomendnych. Toteż ochoczo zabrał się do pracy. Stał przed nami i zagaił. Но ребята, где ваш командир? Popatrzyliśmy na

siebie i zgodnie odpowiedzieliśmy: товарищ лейтенант, у нас нет командира. На со он: как это нет командира? Мы: но нет. Он: нет? Мы: нет. Он: нет??? Мы: НЕТ! No, zasępił się żołdat i начал думать. Oj dumal, dumal i wydumal. Nagle, eureka! У вас нет командира? Это значит: у вас анархия! Pomnijcie kontekst. Polski pociąg w Sovietskim Sojuzie. W rok po stanie wojennym. A tu takie jaja. Wszyscy, którzy usłyszeli towarzysza-lejtnanta gruchnęli śmiechem. Zaś biedny towarzysz, do końca podróży nie mógł zrozumieć, z czego to śmieją się te lachy. Wysiadł ogłupiały.

Niedługo potem zawitałem na Otryt. Pamiętam jedną z pierwszych poważniejszych prac, naprawę gontów na lektorium. Pewien chudzielec, wołają na niego Szczupły, zaprasza mnie do wspólnej pracy. Gaworzemy, żartujemy, robota sama się dzieje. Czuję, że to znacząca osoba, ale on traktuje mnie jako partnera w robocie. Po prostu, dwóch facetów umówiło się, że wspólnie coś zrobią. Za chwilę spotykam innego jegomościa. O tym obecni w Chacie mówią Klichu. Widzę, że ludzie odnoszą się do niego z szacunkiem. Jednocześnie siadamy do quasi-naukowej dyskusji o... już nie pamiętam. Każdy ma coś do powiedzenia, a chwilami dr K. jest zakrzykiwany przez oponentów. Myślę sobie, gdzie ten



командир? А его нет. Jak to możliwe, że tak wielkie przedsięwzięcie się kręci. No to nie tak, że nie ma „znaczących innych”. Szybko mogę zorientować się, kto wywiera wpływ. Ale to wpływ i już.

Do dziś zachodzę w głowę, jak to możliwe, że banda zdeklarowanych indywidualistów potrafiła skrzyknąć się, dwa razy zbudować Chatę i zachować ciągłość przez z górą trzydzieści lat? A może to tak, że w tym całym popapranym świecie jest to

miejsce, gdzie ludzie robią tylko to co chcą, a nie co muszą, bo przecież...

Czasami приходzimy i odchodzimy. Otryt jest czasem realnością a czasem wspomnieniem. Losy nasze różnie się dzieją. Ale nawet ci, którzy z różnych powodów czasowo odpadają, zachowują coś, co trudno nazwać, ale bez czego nie byłiby do końca tymi kim są. Dlaczego? Bo tak. I tego biedny лейтенант-поручик pewnie nie zrozumie.

Waldek Dymarczyk

Tak naprawdę to spotykają się tu sami popaprańcy
 Nie przystosowani do życia z bieżącą wodą i informacjami
 Liderzy, wrażliwcy i inne popieprzone kreatury
 I nie ważne czy to samczyk czy samiczka
 Socjolog czy kosmetyczka
 Wszyscy równo porąbani
 I nie wiem czy to Bieszczady
 Czy jakieś sito umieszczone po drodze do chaty
 Ale coś w tym jest
 Jakieś chochliki czy dydki?
 Przecież z Wami nie da się wytrzymać minuty pod jednym dachem.

Tylko dlaczego tak mi z Wami dobrze?

Salamandra
 Otryt, 29.IX.2008



Otryt dał mi wiarę.

(Tytuł rodem z Radia Maryja. Trudno, świetnie.)

Byłem przez 14 lat menadżerem w firmie, którą stworzyłem w 1993 roku. Na początku nazywała się „Jutor”. Firma przepoczwarała się, a ja awansowałem. Było super dopóki ją budowałem. Żyłem, jakby na kredyt. Moje pomysły były ciągle w przedzie przed bieżącymi obrotami i możliwościami. Stał za mną kapitał, miałem stale zaplecze: dobrą pensję, auto no-limit i dodatki typu komórka, laptop, etc. No i miałem całkowicie wolne ręce. Kiedy na początku nowego tysiąclecia spytałem mojego ówczesnego szefa czy zgadza się ze mną, że czas „uderzyć” na Rosję, odpowiedział: „nie mam pojęcia. Ale, skoro Ty tak twierdzisz, to uderzaj.”

Jednak przyszła kryzys na Matyska – w 2003 roku kupili nas Amerykanie – firma „world wide” Simpson Strong-Tie. Firma akcyjna, solidna, uczciwa i do bólu zorganizowana: żadnej improwizacji, wszystko zgodnie z planem. Po prostu „korporacja”. Coraz bardziej byłem związany gorsetem „action plan’ów”, „target’ów”, „report’ów” i budżetów. Moje życie zawodowe zaczęło się sprowadzać do Excella. Coraz bardziej byłem ucieleśnieniem marzeń młodych japiszonów: spotkania top managementu w szkła-nych pułapkach Paryża, Amsterdamu, Barcelony, drogie hotele i restauracje.

Zacząłem nie lubić mojej pracy. Ale, cóż – miałem już swoje lata (i byle jakie, nikomu niepotrzebne, wykształcenie etnograficzne), rodzinę dość liczną (choć śliczną) i dwa domy na utrzymaniu. Zacząłem się męczyć w nie swojej skórze. Wbrew temu, co mówi Komisarz, nie jestem „wyznania handlowego”. Nie do tego się urodziłem. A tu czysty handel: zamówienia towaru, zamówienia klientów, decyzje o rabatach, magazyn i remanent co kwartał, problemy na poziomie „slow-mooving-items”. Ale poczucie obowiązku kazało mi trwać na posterunku.

I wtedy, zbiegiem okoliczności, pojawiła się potrzeba odbudowy Chaty. No, jeśli budować, to ja jak najbardziej. Miałem jeszcze na tyle luzu w firmie, że mogłem „skoncentrować się na regionie południowo-wschodnim” i zrobić w 2004 roku ok. 12000 km na Otryt i z powrotem.

Gorset coraz bardziej zaciskał się, a ja się coraz bardziej dusiłem.

Męczyłem się tak dwa lata, udając kogoś, kim nie byłem.

A Chata powstała z martwych. Udało się. To był wielki sukces. Między innymi – mój.

W 2006, dokładnie 30-go grudnia skończyłem 50 lat. To taki moment, że albo zalegasz na kanapie i czekając na emeryturę, niczego już nie stworzysz. Albo, napniesz wątle mięśnie i znowu zaczniesz coś od nowa. Jesteś słabszy od młodych, ale z drugiej strony – mądrzejszy. No, w każdym razie –



nic: część przepadła w ogniu, część rozkradziono (także znacznie wcześniej – jeszcze w latach osiemdziesiątych przepadła unikalna podkova dla wołu). Tym cenniejszy jest otrzycki krzyż, umieszczony w 1982 r. tak, by wital i żegnał wszystkich: przy mostku na ścieżce od Chmiela, podówczas głównej drodze do Chaty.

Jest to żeliwny krzyż cmentarny z przelomu wieków, odlany z typowej formy gdzieś na zachodzie Galicji, czy może w Czechach. Wysoki, z postacią Chrystusa w górnej części, ażurowym trzonem i postacią Maryi z Dzieciątkiem, stojącej na półksiężycu, u podstawy. Stał nad czymś grobie na cmentarzu w Smolniku, potem, powalony jak inne, został podniesiony i przeniesiony pod Chatę, by – jak głosi fama – uczcić jej gospodarzy, wygnanych z Góry przez stan wojenny. W ten sposób ocalał – większość pozostałych sprzedano na złom.

Dziś dolna część krzyża jest niewidoczna. Gdzieś w latach dziewięćdziesią-

tych krzyż zaczął wrastać w drzewo, najwidoczniej przez kogoś rozmyślnie skaleczone. Nie wiem, czy jest sposób, by sprawdzić, czy dolna część krzyża nie została wówczas odłamana i skradziona, czy też bez śladu wrosła w drzewo. Dziś na pewno jest złamany – wzrost drzewa wyraźnie przekrzywił górną część krzyża.

Krzyż ten ma szczególną cechę. Proporczyk z cyryliczkimi literami IHII nie jest odlany wraz z nim, lecz przynitowany tak, by przesłonił tabliczkę z lacińskim napisem INRI. Proporczyk ten jest też odlany w wyraźnie podlejszego żeliwa. Ani ja, ani nikt z badaczy dziejów Bieszczadów, których o to pytałem, nie zetknął się z drugim podobnym przykładem – nie wydaje się jednak, by mógł to być jedyny taki krzyż.

Tadeusz A. Olszański
Marzec 2007

Idę, myślę, wspominam
Dyszę, chłonę, idę
Staję, perswaduję, piję
Kojarzę, obserwuję, tonę
W miejscu, w ludziach, w sensie
W wartościach, wolnościach, miłościach
Znowu jestem

Salamandra
Otrvt. 19.IX.2008



Ryby w Sanie i mała wiśniówka

Dostałem e-maila. Z niepokojem spojrziałem na adres nadawcy, Waldi.

A tak cichutko siedziałem!

„*Jak Ci może wiadomo, zaangażowałem się w wyprodukowanie nowego biuletynu...*” – i dalej nie musiałem czytać. Sięgnąłem do „trzeciej linii”, budzisz wyrzuty sumienia.

Zaproponowany podział tematyczny „...struktury Biuletynu” dla mnie jest konsternujący. Zamiast ułatwić napisanie tekstu uświadomił, że właściwie nie mam już co wspominać. Ba, nawet komentować historię będzie ryzykownie. Opowiadane wcześniej w naszym towarzystwie wydarzenia z przeszłości (starej Chaty, czasów odległych dla nowego pokolenia Otrytczyków), mają własne życie, obrosły przybudówkami – anegdotami jak stary dwór chasydzki. I każdy wie lepiej jak było. W razie wątpliwości jest persona Krzysiaczka, która udostępnia zainteresowanym interpretację pedagogiczną wydarzeń, wersję „bez możliwości odwołania”!

Powracając do treści Twojego e-maila;

Część I. „Prawiek i inne czasy”

No, i pomyśleć, że ktoś się od razu podłoży, jako świadek, uczestnik słynnej wędrówki grzbietem Otrytu, przypomni ważkie słowa „tutaj, To warzysze i Koledzy nacjonaliści bę-

dzie nasz Wspólny Dom”!!! I zawrze malowniczy opis, jak pięknie wyglądały kwitnące drzewa owocowe, szumiał potok (rwący!), a w istniejących studniach woda nadawała się do picia.

Spróbuj Waldi, przycisnąć Henia K. (ma wersję poprawną, obowiązującą!). Może zapytaj Ewę Lewicką (EWA z zasady prawdomówna i pamięta doskonale wypowiedzi, poglądy pierwszych Otrytczyków!) Może złamie ‘pro publico bono’ wrodzoną dyskrecję i coś wspomni... (pod pseudonimem literackim, oczywiście!) Piotr Morawski, swoim chłodnym okiem reżysera filmowego zakonotował także mnóstwo epizodów historycznych z Chaty.

A jakbyś, Waldeczku, chciał informację z „prawieku”, o budowie i kształtowaniu się społeczności przyszłej Chaty, wygłoszone z pozycji innej niż interpretacje obowiązujące – złap Norberta W, lub Magistra „Śfinię” Gołackiego. No, może Niepokulczycki Paweł zeznałby co nieco. A to „prawica” polityczna niemożliwa, do tej pory! Aż dziw, że po tych Bieszczadach, przy ogniskach, tak diametralnie różne poglądy polityczne „siedziały”. Aaa! Przecież Przemek W. wrócił po latach do grona otrzyckiego! Wprawdzie licealnym młodziekiem był w słynnym roku „0”, ale pamięć ma świetną.



Widzisz, Waldi, szanse na Vincenzów są, i to duże!!! „Prawiek” możesz mieć zabezpieczony w taką ilość informacji o przodkach otryckich, że jeszcze Igor powoła zespół badawczy, a ExRadny zażąda komisji śledczej, aby dojść prawdy o Pierwszym, który się zatrzymał w miejscu naszej Chaty, zakopał puszkę po konserwie turystycznej. Materiał na następne biuletyny, jak znalazł!

Trochę nie rozumiem, Waldi spójnika: „prawiek i inne czasy”. Znaczący, inne były, to fakt. Ale jeśli w jednym rozdziale chcesz „inne czasy” – to od którego momentu „prawiek” się kończy??? Tutaj dyskutuj z Krzysiaczkiem, Szczupaczyńskim J. Zwłaszcza ten ostatni ma świadomość epok otryckich! I ten język wykładowy, precyzyjny, rzeczowy. A chłodny, nie emocjonalny umysł Jurusia! Przyciśnij, wyduś z niego zeznania. Nawet, jeśli minie się z prawdą w opisach zdarzeń, to zrobi to ładnie literacko. Zapytaj go o kobiety. O kariatydy otryckie podtrzymujące w różnych okresach nasze nadwątlone ego, scalające i organizujące to życie otryckie z bardziej ludzkiej strony. Juruś pamięta i potrafi o nich pięknie mówić.

Waldi. Proponowana część „**Z lekkim zażenowaniem.**” może być najciekawsza. Zależy, czy ktoś odważy przypomnieć konflikt, który zaowocował wieloletnią nieobecnością sporego grona otrytczyków, a spowodowany była formalnym wnioskiem o rozwiązanie Klubu Otryckiego, oraz późniejszą słynnym pobytem

działaczy nowej KZMP!! Brrr, ostro było. Tutaj, ówczesny Gospodarz Chaty mógłby co nieco uściślić fakty. Lata 80-te, okres zawirowań w naszej społeczności otryckiej, wyraźne zaznaczenie sympatii politycznych, pęknięcie więzi koleżeńskich... Jest w naszym gronie TAO, zazdrośnie strzeże pisanych latami Kronik. Uważam, że jest to jedyna osoba, która dzięki zapisywanym od dawna relacjom „na gorąco” posiada rzeczywistą wiedzę o wydarzeniach i ludziach. Dodatkowo niesamowita pamięć personaliów! Chylę czoła! Rzadko zdarza mi się polemizować z TAO, jeśli protestuję jakąś wersję wydarzeń. Ale jak przekonać Wielkiego Kronikarza do ujawnienia swoich materiałów, czy ocen ludzi, sytuacji – nie mam błędnego pojęcia. Uważam, że kiedyś skusi się na esej, jak to z nami bywało. Turgieniew przy nim wypadnie blade!

Waldi. Niezręcznie się czuję, kiedy liczysz na mój udział w części trzeciej „**W oku cyklonu**”, o odbudowie Chaty. A cóż ja mógłbym skrobać w tym temacie?? Toć wyrosły postacie nowe, na miarę wspólnej Europy. Silacze, którzy fizycznie i psychicznie znieśli trud odbudowy. To oni winni są napisać jak widzą Chatę, jak się czuli, jakie więzi przetrwały z tego pionierskiego czasu. Cieszyłbym się z tekstu wspomnieniowego osoby z „Grupy Trzymającej Gonty”. Nie do przecenienia rola i zaangażowanie tej grupy Otrytczyków. Masz rację.

Wymiguję się z napisania tekstu? Masz rację. Wolę pozostać w roli osoby, która będzie w opowiadać anegdoty i



na linię Cisna – Przełęcz Użocka. Wkrótce potem wojska cesarskie odzyskały Poloniny, by pod koniec stycznia podjąć przeciwdzierzenie na większą skalę. Jednak przez cały czas był to drużgorzędny kierunek działań: na przełamaniu linii Karpat liczone gdzie indziej.

Około 20 stycznia 1915 r. Austriacy rozbili na polach nad Lutowiskami kawalerię chana Nachiczewańskiego. W tym samym czasie zepchnęli Rosjan z Otrytu, zapewne słabo bronionego. Jednak stroną ofensywną na całym froncie wciąż byli Rosjanie, więc natarcie wstrzymano i podjęto budowę pozycji obronnych na Otrycie, których pozostałości są widoczne po dziś dzień. Prace te trwały krótko – już 7 lutego Rosjanie przeszli do natarcia, spychając oddziały węgierskie z Otrytu na linię Stoły – Zatwarnica – Stuposiany. Dwa miesiące później, po kolejnej ofensywie Rosjan, wojska cesarskie nie utrzymały się nawet na paśmie granicznym. Jednak w maju, po klęsce w bitwie gorlickiej, Rosjanie oddali Bieszczady bez walki. Front cofnął się daleko na wschód i tam już pozostał do końca wojny.

Podczas wojny polsko-ukraińskiej 1918-1919 r. w rejonie Ustrzyk Dolnych doszło do paru potyczek, a Lutowiska były lokalnym centrum państwa ukraińskiego. W maju 1919 r. oddział ukraiński, formowany w Bieszczadach, wycofał się do Czechosłowacji, nawet nie naciśnięty przez Wojsko Polskie.

II wojna światowa w zasadzie ominęła Otryt. Nie było tu działań wojennych we Wrześniu, w 1941 r. mogło dojść najwy-

żej do starć patroli. W 1944 r. po przejściu Rumunii na stronę aliantów planowany przez sowieckie dowództwo zmasowany szturm Karpat stał się niepotrzebny, a węgierską Linie Arpada, mającą je zatrzymać, rozbudowywano głównie w paśmie granicznym. Z dostępnych opracowań nie wiadomo o pozycjach obronnych na Otrycie. Także w terenie nie widzimy ich śladów, inaczej, niż tych z Wielkiej Wojny.

19 września 1944 r. Armia Czerwona zdobyła Rajskie i Bukowiec, następnego dnia stoczyła bój pod Ostrem, a 22 zdobyła Magurę Łomnińską. Po jej upadku siły niemiecko-węgierskie podjęły w Bieszczadach generalny odwrót. 24 września wojska sowieckie zajęły Lutowiska i Dwernik, przeszły Otryt, San i Poloniny, by następnego dnia zająć m.in. Wetlinę i Caryńskie. Był to więc pościg, a nie natarcie, tym bardziej, że nie posuwano się osiami dróg, a szerokim frontem przez góry i doliny.

O walkach z UPA w tym rejonie nie wiemy prawie nic, oprócz tego, że 2 sierpnia 1945 r. silny jej oddział stoczył pod Skorodnem zwycięski bój z NKWD, potem zaś przez San i polskie Bieszczady przeszedł na Słowację; którego powrócił na Ukrainę – nie wiemy.

Nasz krzyż

Z licznych zgromadzonych w pierwszej Chacie pamiątek po dawnych Bieszczadach nie ocalało prawie



mógł powstać tak daleko od domostw.

Po wysiedleniu przez władze sowieckie nadszańskiej części Chmiela część jej mieszkańców przeniosła się do przysiółków; sądzę, że głównie na Potoki, bo przenoszenie aż pod grzbiec Otrytu rozzebranych chałup byłoby nadmiernie uciążliwe (choć wykonalne). I tu jednak powstało wówczas kilka nowych chałup, bo przy różnych pracach, prowadzonych wokół Chaty zidentyfikowano relikty co najmniej pięciu domostw. Być może te „dostawki” stanęły wzdłuż linii od wiaty ku Arturówce, tam, gdzie przez jakiś czas były otryckie warzywniki (przy ich urządzaniu znaleziono relikty chałup), może którąś postawiono w dolnej części polany „widokowej” albo w okolicy dzisiejszego pola biwakowego. Rekonstrukcję planu dawnego przysiółka utrudnia fakt, że otryckie domostwa nie zostały spalone, lecz rozbrane łącznie z kominami, więc ziemia zachowała niewiele śladów.

Sowieckie wojska pograniczne urządziły w domostwie, położonym na miejscu obecnego lektorium, posterunek obserwacyjny. Ponad pół wieku temu był z tego miejsca znakomity widok w dolinę Sanu (dziś też jest wspaniały, ale głównie nad doliną). Podciągnięto tu linie telefoniczną z Lutowisk, założono też lokalny wodociąg (w reliktach fundamentów znalazł się kran oraz izolator telefoniczny). O tym, że linia prowadziła do Lutowisk świadczy izolator, wbity w jedno z drzew przy ścieżce grzbietowej na wschód od Chaty. „Objawił się” przed kilku laty, gdy drzewo umarło. Korony żywych drzew kryją zapewne dalsze.

W 1951 r. część Bieszczadów na północ od Sanu wróciła do Polski. Zgodnie z warunkami umowy, władze sowieckie wysiedliły ludność, pozostawiając nienaruszoną zabudowę. Był to koniec osiedli otryckich. Bieszczady były wyludnione: w 1931 r. w Chmielu mieszkały 533 osoby (w 1950 – już tylko ok. 370), w Dwerniku i Dwerniczku – 802; w 1960 r. Chmiel liczył zaledwie 36 mieszkańców, a Dwernik 130. Utrzymywanie odosobnionych osiedli z dala od bitych dróg było więc bezsensowne. W latach sześćdziesiątych otrycka zabudowa została rozzebrana przez mieszkańców Dwernika (Potoków – zapewne przez chmielan). Pod koniec lat sześćdziesiątych nadleśnictwo „zadekretowało” tu pole biwakowe, wznosząc też wiatę, która stała się oparciem dla budowniczych Chaty, a runęła w latach dziewięćdziesiątych.

Otryckie wojny

Pierwsza wojna światowa objęła także Bieszczady, choć dla obu stron był to drugorzędny teren działań. We wrześniu 1914 r. Rosjanie dość łatwo zepchnęli słabe oddziały austriackie ze wschodnich Bieszczadów, zajmując Turkę i Ustrzyki Dolne, dalej jednak nie poszli, wkrótce szybko cofając się na północny wschód. W tym czasie głównym ich celem był Kraków, nie Węgry, jak podczas kampanii zimowej. Na początku listopada wojska rosyjskie po krótkich walkach zepchnęły Austriaków



historyjki, zainteresowanych konkretnym wydarzeniem życia otryckiego. Ze smrodkiem dydaktycznym przy małej wiśniówce. A chętnych na wycieczkę poprowadzić na Łupków,

opowiadając jak to bez śpiwora, polaru, goretexu, spało się pod drzewem i jakie ryby w Sanie lowiło się na kolację...

Uklony - Komisarz

Oczywiście, na pewno
I tak przez 14 lat
Bez sensu
I wreszcie
Plecak
Buty
Bagaż pakowany przez lata na grzbiet nie wielkiej już kobiety
Uginam się od wspomnień
Odejść i przyjść
Zadyszki dostaję od tępa wczoraj nadanego
Pierwszy lyk
Łagodne rozgrzeszenie
Inny świat
Inne wartości
Na ramieniu ci, których już nie ma
Miejsce wstępowania w świat dorosłych
Dzisiaj, tutaj wolna i świadoma
Z wyrzutem skroplonym na brodzie
Dzisiaj na ścieżce, która była jedyną słuszną drogą.

Salamandra
Otryt, 19.IX.2008



Otryt Nowicjusza

Z weną było ciężko, ale jak się obiecało... Uwaga! Patetycznie, jak na 1-go Maja?

Pierwszy kontakt z Otrytem zaczął się dla mnie wraz z lakonicznymi wzmiankami kolegi o tym tajemniczym miejscu. Były one wystarczająco intrygujące, by z zadziwiającą pewnością zmierzyć na ich spotkanie.

Konfrontacja wyobrażeń z rzeczywistością nastąpiła wraz z postawieniem stóp u podnóża góry w Dwerniku. Wyekwipowany w 9 numerów telefonów do Otrytczyków będących w Chacie ("bo telefony mogą być wyciszone, lub ich właściciele...") oraz survivalowe opowieści o zachowaniu podczas spotkania z niedźwiedziami i wilkami rozpoczynam przygodę...

OTRYT NOWICJUSZA

Podejście pod górę Otrytu jest samo w sobie inicjacją, przygotowaniem na spotkanie. Jest to ostatni moment na zastanowienie się nad możliwością zawrócenia i ucieczki przed nieznanym. Potem Chata wchłonie. Może niektórych wypłuje, ale na pewno nie pozostawi obojętnymi.

Pierwszy moment po przekroczeniu progu chaty „gdzie cisza nocna nie obowiązuje” to uderzająca wraz z oparami dymu kominkowego, cytry-

nówki i specyficznego zapachu higieny fala pozytywnego nastawiania do nowoprzybyłego. Bezpośrednie, szczerze przyjęcie przez ludzi. Otwarcie na nowych i innych. Nieco później można je już pełnoprawnie uznać za poczucie pełnej wzajemnej akceptacji. Aprobaty osób, o czasami kompletnie innych poglądach, wyznaniach, wywodzących się z różnych środowisk i o przecieź tak wyrazistych charakterach. Charakterach, które popchnęły ich do mozolnego podchodzenia pod górę i znalezienia się w tym miejscu, gdzie czeka ich sła wojka w lesie (o zapraszająco otwartych drzwiach), a szczytem luksusu jest prysznic własnoręcznie zasilany wodą z kubka. Ale spotyka ich też coś więcej. Ogromny kredyt zaufania, spontaniczność w pomocy i udzielaniu się, który u "Nowego Otrytczyka" wywołuje chęć zrewanżowania się za otrzymane dobro. Wspaniale jest patrzeć jak, w tej wspierającej atmosferze, jedni szybciej inni w swoim czasie, otwierają się na siebie i dzielą się sobą, swoimi talentami i bynajmniej czymś jeszcze...

Jakże zatracona została w dzisiejszych czasach ta magia, której ostoją jest chata Socjologa na Otrycie. Magia ocierająca się o pierwotną potrzebę bycia z drugim człowiekiem.

A poza tym to bardzo piękne miejsce!

S. czyli Nowy Otrytczyk



które należały do jakiegoś Truchana. Z kolei nazwa Hulskie pochodzi od polan na południowych stokach Otrytu, które należały do zasańskiej wsi Hulskie. W obu przypadkach odbija się różnica podejścia do nazewnictwa: dla mieszkańców wsi istotne były pola i łąki, drogi i działki leśne, dla kartografów – wierzchołki gór, jako punkty odniesienia triangulacji i dozory artyleryjskie (mapy topograficzne sporządzano przecieź głównie dla wojska). Z drugiej strony kartografowie musieli eliminować powtarzające się nazwy – a Kiczera, Wysokich Wierchów i Patryj w Bieszczadach nie brakowało.

Trohańcem nazwano najpierw szczyt 889, pierwszą wyraźną kulminację od wschodu. Później nazwę przeniesiono na sąsiedni, wyższy szczyt 939, na wcześniejszych mapach zwany po prostu Otrytem. Powodem było zapewne równoległe odniesienie nazwy Otryt do całego pasma. Dlaczego jednak nigdy nie nazwano szczytu 894 (bezpośrednio górującego nad Chatą)? I czy lud bieszczadzki miał dlań jakąś nazwę? Pierwszego nigdy się nie dowiemy, drugiego – może jeszcze tak. Na razie więc nasza otrycka Góra pozostaje bezimienna. Może więc zgodzimy się, że takie jest właśnie jej imię?

Prawie nie znamy lokalnych nazw obiektów topograficznych, położonych między Sanem a Górą. Na mapie W. Krukara (Bieszczady. Mapa dla wytrawnego turysty) znajdujemy Krywulę (potok, dolną częścią którego biegnie droga od Dwernika), Banisystwo (grzbiet między Potokami a ścieżką od Dwernika) i

Doszczanki (stok, schodzący na wschód od Góry w dolinę Krywuli). Nieco więcej nazw zarejestrowano bliżej Chmiela, z północnego stoku Otrytu nie znamy ani jednej.

Nasi poprzednicy

Otryt z dawien dawna porosły był lasem. Jest za niski, by mógł tu powstać górski step, zwany w Bieszczadach poloninami. Polany, także te otryckie, powstały w wyniku działalności człowieka, najpierw chyba wypasu, potem wyrębu. Bardzo późno – i tylko na naszych polanach – ludzie osiedli na stałe.

Osiedla otryckie: najniższe położone Potoki, Otryt Dolny (Niżny) i Górny (Wyżny) powstały prawdopodobnie pod koniec XIX w. Musiało się to wiązać z przeludnieniem Chmiela, bo do niego należały grunty tej części Otrytu. W latach trzydziestych wszystkie trzy osiedla (przysiółki) liczyły osiem (wg innych danych dwanaście) gospodarstw, w tym Otryt Górny – dwa. Jak można sądzić z mapy topograficznej z 1937 r. oba leżały na sztucznym wyplaszczaniu, przy końcu którego stoi dziś lektorium. Niżej położone z nich prawdopodobnie miało dwie studnie, z których jedna zachowała się, zostało zajęte przez sowieckie służby graniczne na posterunek. Zachowany do dziś spory, zdziczały sad poniżej wiaty zasadzono zapewne dopiero po wojnie, nie wydaje się bowiem, by



O naszej Górze

Góra i jej miana

Otryt to liczące około osiemnastu kilometrów długości, słabo rozgałęzione pasmo górskie, zaczynające się nieco powyżej ujścia Smolnika do Sanu, a kończące przelosem Sanu powyżej Rajskiego. Jest to typowy dla Bieszczadów „ruszt” górski, podobnie jak równoległe Ostre, Żuków i pasmo Polonin. Przedłużeniem otryckiego „rusztu” są wzgórza i pasma, oddzielające zlewisko Sanu od zlewiska Stryja: Kiczarka, Łysania (tu wododział jest przerwany podwójnym przelosem Sanu), Czerwony Wierch i Siańskie. Na zachodnim krańcu za przedłużenie Otrytu można uznać oddzielną odeń Sanem Tolstą.

Sama nazwa Otryt/Odryt (co jest typowym wahaniem zapisu lokalnej wymowy) jest niejasna. Z pewnością nie jest słowiańska. Niewykluczony jest jej związek z trackim rdzeniem atr/otr, zachowanym w nazwach Tatry, Fatra, Matra, Lotru (pasmo górskie i rzeka w Rumunii). Jeśli tak – musiała mieć ona kiedyś szersze znaczenie, może równoważne dzisiejszym Bieszczadom? Do dziś Otryt jest przecież barierą, dzielącą pogórze od „prawdziwych” gór. To jednak tylko przypuszczenia, których jednoznaczna weryfikacja raczej nie będzie możliwa.

W 1991 r. usłyszałem od przedwojennego listonosza ze Smolnika nad Oslawą nazwę Otryt na określenie Wysokiego Działu (pasmo Chryszczata – Wołosań). Potwierdzałoby niegdysiejsze znacznie

szersze występowanie tej nazwy, a także – sugestię o jej „ukrytym znaczeniu”: pasmo górskie jako takie. Ale to też jedynie hipoteza.

Wysokość Otrytu waha się między 700 a 900 m. n.p.m., a z siedmiu głównych kulminacji tylko dwie mają oficjalną nazwę: Trohaniec (dawniej zwany Otrytem) w części zachodniej i Hulskie we wschodniej. Dopiero niedawno odkryto (przypomniano) ludowe nazwy niektórych z nich: Trohaniec zwał się Wysokim Wierchem, Hulskie – Patryją (tj. miejscem, z którego daleko widać, zatem niegdyś na tym szczycie musiała być polana), z zachodniej części pasma znamy jeszcze Kobylanke, Kiczere, Taboryszczce i Szczob, ze wschodniej – nic więcej. To ostatnie wynika głównie z tego, że Wojciech Krukar, przywracający współczesności nazwy sprzed wysiedleń, nie odnalazł dotychczas kompetentnych informatorów z wokółotryckich wsi, wysiedlonych w głąb Ukrainy. I może już nie odnajdzie – ludzi, pamiętających bieszczadzki świat sprzed II wojny światowej, z każdym rokiem jest coraz mniej.

Tak Hulskie, jak i Trohaniec są „wynałazkiem” austriackich kartografów. Nazwa Trohaniec vel Truchaniec odnosiła się pierwotnie do grzbietu schodzącego w dolinę Smolnika poniżej leśniczówki Rosochate (z kulminacją 651), grunta,



Otryt – Sylwester 2008/09

Gdy Damy i Huzary na Otryt się zjadą
to różne dziwne sprawy pewnie się wydarzą.
Pewnie będzie wesoło wokół ognia blasku,
Pewnie będą zabawy od zmierzchu do brzasku.
Zanim jednak dwunasta wybije godzina
Zechce się wyszminkować niejedna dziewczyna.

Co było robić, Huzary ani pisną pójdą na górę i czapki naciśną
(a pod polami flaszeczki zasuną
i półmisek jaj przepiórczych na piętorko zwiną).
Tam też się zaczęło męskie „malowanie”,
które prości ludzie nazywają „chlaniem”.
Do tego kawały sprośne i bajki przebrzydłe,
co panny i damy czynią wszak bezwstydną.

Jakże się owe damy mocno zadziwiły,
kiedy pan-braty z piętra ruszyć nie raczyły,
bo „malowanie” dzbanów i trunków spożycie
cenić zaczęli bardziej niż wspólne pożycie.
Wreszcie emisariuszek wianek
raz po raz wysłany
zdolał wyrwać z męskich objęć dzbany.

Zaczął się Sylwester, jak zaczarowany
i tłum ruszył zgodnie w bardzo skoczne tany.
Tak więc wždy ludkowie raczyć pamiętajcie
i niewiastom zbyt łatwo uwieźć się nie dajcie.
Tyleż warcy jesteście ile nieprzystępni
bo zbyt łatwa zdobycz nikogo nie kręci.

Przem.



Otrycka Wytwórnia Filmowa (OWF)

Właśnie zacząłem się zastanawiać, ile to już lat istnieje nasza Otrycka Wytwórnia Filmowa. Jak by nie patrzeć to już cztery okrągłe lata. Może to jeszcze nie Hollywood, ale na pewno już OtrytWood i jak na nasze możliwości spełnia swoje zadanie, czyli dostarcza rozrywki. Czasem może nawet coś więcej...

Wszystko zaczęło się w styczniu 2005 roku. Kilka dni wcześniej przyszedł na świat mój syn Oleg. Żona wyszła ze szpitala, a ja akurat poczułem w sobie wenę. Fajnie byloby stworzyć coś nowego. Coś, czego jeszcze nie było. I wtedy właśnie powstał pomysł pierwszego filmu otryckiego – „1 maja na Otrycie”. Impulsem do jego powstania były spotkania w knajpce na Starym Mieście, gdzie sympatycy i klubowicze mieli okazję obejrzenia surowego materiału VHS z majowego wyjazdu na Otryt. To było jeszcze w 2001 roku. Musiały zatem upłynąć cztery długie lata za nim zarodek przerodził się w filmowe dziecko.

Montaż pierwszego filmu zajął bite dwa tygodnie. W przerwach między tworzeniem ujęć filmowych, przycinania, wyszukiwania, kopiowania, dobierania muzyki, starałem się pomagać żonie i zajmować się małym Olegiem. Teraz, przez pryzmat lat, biję się w piersi, że za dużo czasu poświęciłem temu projektowi, ale mam nadzieję, że zostało mi to wybaczone i zajęcie to nie

pozwoiliło mi zapomnieć całkowicie o najbliższych.

Premiera pierwszego filmu OWF odbyła się podczas ostatków otryckich w 2005 roku. Pozytywna reakcja widzów na film przerosła moje najśmielsze oczekiwania i dała kopa na przyszłość. A jednak warto było poświęcić swój czas! To był prawdziwy impuls do kontynuowania tego przedsięwzięcia.

Kolejne produkcje powstały w 2006 roku. Były to filmy o Marcinie Ząbku „Zombie’m” i Mariuszu Twardowskim „Komisarzu”. Wtedy po raz pierwszy pojawiła się oficjalnie nazwa Otrycka Wytwórnia Filmowa oraz czółówka filmowa, która od tej pory towarzyszy wszystkim produkcjom otryckim. Podobnie jak w przypadku pierwszego filmu ich premiera miała miejsce podczas klubowych ostatków w klubie „Apartament”. Filmy zostały przeznaczone na aukcję. Osiągnęły całkiem przyzwoitą cenę.

Kolejne wyzwanie to dwa filmy o Marasie (Marcinie Smoliku), które powstały na zakończenie „gospodarzowania” przez tego ostatniego. Premiera miała miejsce w „Chacie Socjologa” bodaj w marcu 2007 roku. Był to film, który jak dotąd wymagał największego zaangażowania ludzkiego i czasowego. Nakręciliśmy sceny specjalnie pod kątem jego stworzenia. Chodzenie z mikrofonem i kamerą



DLA KUBY (KLAWESYNISTY)

Pewien malkontent opinią zgrzeszył,
Że tylko prosta rozrywka nas cieszy.
Ze zawsze jest bańka, gitara i wycie
Właściwa bywalcom Chaty na Otrycie.
Dziś był Froberger, Kuba i klawesyn

*Napisany 31.01.2009 na koncercie dyplomowym Kuby
w Wyższej Szkole Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie.
Otryczycy stanowili sporą część publiczności.*

4

Wrażliwego młodzieńca po Świącie Barana
Taka oto myśl naszła następnego rana:
„Dokonał ablucji tuż po defekacji”
Pomyślał. Przyznajmy nie bez pewnej racji -
- dość miał „mycia” i „srania”.

*To jest czwarty z cyklu limeryków defekacyjnych.
Pozostałe można przeczytać na ścianie kibla na Otrycie.*



Poniżej pisane z różnych okazji limeryki by Julo. W przyszłości wydamy pewnie osobny tomik limeryków zebranych, wszak bywanie poetą wychodzi Julowi nienajgorzej ;-)

LIMERYK DLA MARASA

Raz Maras rzekł - zaraz
I wyszedł na taras
Rzucić brzydki wyraz,
Żeby nie wpaść w marazm.
Ukarać Marasa - zakrzyknęła Rada,
W Chacie Socjologa tak kląć nie wypada.
Ma przeprosić dwa razy? - Nie, ma raz!

CZAJNIK

Raz czajnik, będąc na gazie,
Sfalszował gwizdaną frazę.
Skarcony wzrokiem wybranki,
Wylał wszystko do szklanki.
Znów się postarał
I oto jest para.

HUSQVARNA

Raz w lesie pełnym pomarańczy
Obudził się Pawlik Andrzej.
Tam ONA leżała gotowa
Tak ostra i pomarańczowa.
Szarpnął, warknęła i zamiast ją niańczyć.
Zaczęli tańczyć.



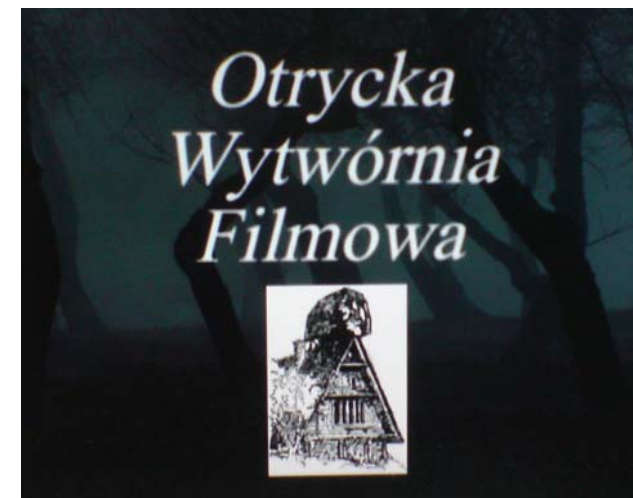
przy Galerii Mokotów to niezapomniane wspomnienie. Trzeba było przelać treść i wyjść do ludzi. Zabawa była przednia. „Z kim pani kojarzy się Marcin Smolik? To chyba... taki piłkarz”. I wiele innych sytuacji. Ludzie jednak boją się kamery. Przygotowanie dwóch filmów dla Marcina zajęło jakieś dwa miesiące.

Potem powstał krótki film dla Moniki i Jasia Wasilewiczów z okazji ich ślubu. To była najszybciej powstała produkcja. Dzwoni Kometka na dwa dni przed weselem: „Misiu, może ci się uda coś zrobić dla Jasiów”. Nie da się. A jednak się dało. Znowu sprawdziło się ludowe powiedzenie, że „nie da się, to parasola w dupie otworzyć”. To był najszybciej zrobiony film. Jego powstanie kosztowało kilka godzin.

Kolejnym zmontowanym materiałem był film na 50 urodziny Julka Głowackiego „Jula”. Od momentu powstania koncepcji do zmontowania ostatniej sceny minęły blisko 3 miesiące. Najwięcej czasu zabrało zebranie materiałów archiwalnych z Internetu, które były ilustracją pięćdziesięcioletniego żywota głównego bohatera. Potem zdjęcia historyczne Jula. Znalezienie stosownej muzyki, odpowiednich fragmentów z materiału filmowego. Montaż. Ostatnie sceny powstały o godzinie 2-3 w nocy – na piętnaście

minut przed przekazaniem płyty osobom, które jako ostatnie wyjeżdżały na urodziny Jula... na Otryt. Niestety nie miałem możliwości uczestniczenia w premierze. Jednak największym podziękowaniem za włożoną pracę były łzy wzruszenia Jula podczas oglądania premierowego pokazu... Naprawdę duża satysfakcja.

Od początku swego istnienia OWF (nie mylić z OWP!) borykała się z problemami. Były to przede wszystkim problemy techniczne wynikające ze sprzętu, na którym powstawały



filmy. Ileż ja się naprzeklinałem. Najpopularniejszym słowem, które padało podczas montażu to słowo, które w łacinie oznacza zakręt. Zdarzały się jednak bardziej wymyślne. Już w zasadzie scena była skończona, a tu bach i resetował się komputer, albo zawieszał... Ileż wypalonych fajek w poszukiwaniu weny, konsultacji telefonicznych, wypitego piwa i nalewek.



Były chwile zwątpienia. Nie zdążę. Nie ma szans. Pieprzony komputer. Pieprzony mikrofon. Pieprzony program. Wszystko pieprzone. A jednak. Za każdym razem się udawało. Na piętnaście minut przed deadline. Na półgodziny przed. Na piętnaście minut...

Nie inaczej było przy ostatniej produkcji OWF. Film o Czajkach dla Czajek. Film powstał dzięki pomocy Marcina Ząbka, który wypożyczył swój nowy laptop. Mój komputer odmówił w tym czasie posłuszeństwa. Znowu ponad miesiąc prac koncepcyjno-montażowych. W tym czasie Julo okazał się nieocenionym pomocnikiem. Był współscenarzystą i recenzentem. Kilkaście godzin rozmów telefonicznych i konsultacji przed komputerem. I znowu, jak to już tradycyjnie bywa, film w wersji finałowej powstał na 45 minut przed ślubem Igorków. I do tego ostateczny plik miał przesunięty głos względem obrazu. Na ślub spóźniliśmy się o 10 minut. Finał jednak okazał się nadzwyczajny. Głos zrównał się z obrazem! To był jakiś fart, albo cud. Produkcja otrycka zrobiła furorę na weselu. To fantastyczne uczucie – satysfakcja. Potwierdzenie tego, że ma to wszystko sens. Tworzenie dla samego tworzenia nie miałoby racji bytu. Jak mawiał Alfred Hitchcock: „Film jest zły wtedy, jeśli ktokolwiek z publiczności chociaż na chwilę może odwrócić oczy od ekranu”. Wierzę, że produkcje OWF nie zaliczają się do takich, od których można odwrócić oczy. Przynajmniej oglądając je po raz pierwszy.

Wspominałem już o kilku osobach, które wydatnie przyczyniły się do powstania produkcji OWF. Bez wątplenia ich pomoc była nieoceniona. Dodawała pewności siebie, otuchy w chwilach zwątpienia i braku natchnienia. Bez takich osób jak m.in. Igor Czajka, Beata i Julo Głowaccy, Krzysiek Tymicki, Marek Grotowski, Kometka, moja żona i w końcu Andrzej Pawlik, który sfinansował zakup legalnego, nowego oprogramowania dla OWF, wiele filmów by pewnie nie powstało. Jak zwykle to bywa, tam gdzie angażuje się więcej osób, tam efekty są większe.

Przed OWF jeszcze wiele do zrobienia. Wiele nowych wyzwań, rzekłbym. Pomysły chodzą mi po głowie. Z pewnością jednym z pierwszych nowych filmów, który powstanie, będzie film poświęcony historii „Chaty Socjologa”. Jest również parę osób, które doczekają się w końcu materiału o sobie. Z pewnością w krzywym zwierciadle. Może w końcu „Blair Witch Otryt Project”?

Michał „exRadny” Aleksandrowicz

Ps. Jeżeli ktoś posiada archiwalne materiały filmowe z Otrytu, proszę o ich przekazanie do Rady Otryckiej. Niestety największym zmartwieniem OWF jest skromne archiwum filmowe. To niestety ogranicza kreatywność i możliwości. Może warto pomyśleć o zakupie kamery klubowej, która w przyszłości towarzyszyłaby podczas ważnych wydarzeń otryckich.



ŚLUBNE FANTAZJE: W ODCIENIACH BRAZU



Łazienki, Wilanów, BUW – są passe. Modna para młoda postawi na eleganckie zdjęcia w dobrym stylu.

REKLAMA

Wkrótce wyruszyście w najwspanialszą podróż życia. Wasze serca bić będą jednym rytmem. Fotografia ślubna, która uchwyci emocje Tego Dnia: telefonicznie, 555 675 882. ryszard26.

Nie zapomnijcie ładnie się ubrać.

Beata „Dzida” Głowacka





SOPHIA - WARSZAWA BEZ WIZY

Dawaj ta rakija, ... kochanie.

W Sophii w tym sezonie królował będzie pastelowy róż i spódnice – ołówki. Zaprzyjaźniony z naszym wydawnictwem korespondent bułgarskiego wydania Vogue'a jest już o krok dalej: W przyszłym sezonie spodziewać się zatem należy żółcieni – od pastelowych po bardzo intensywne. Akcesoria: wciąż niepodzielnie rządzić będą kapelusze, ale – uwaga – w dobrym tonie jest nadać nakryciu głowy niezobowiązujący wygląd, który cechować musiał nakrycia głowy Kerouacowskich bohaterów



STARANNIE WYPRACOWANA ABNEGACJA - SEZONOWI LANSERZY



Dziad Borowy. Ale za to z gitarą.



Otrycki lans

Otryt i życie „w realu” to dwa różne porządki. Na Otrycie nie bywa się prawnikiem, biurwą, bezrobotnym, profesorem, robotnikiem, panią ze spożywczaka. To, co komunikujemy ubiorem na co dzień, staje się nieadekwatne na Górze. Ubrania nie muszą być drogie, nie muszą być modne i nie muszą być stosowne do okazji. Chociaż...? Duża część form i kodów komunikacyjnych obowiązujących na co dzień, zostaje porzucona – ale zastępują je inne. Otryt ma swoje własne wyznaczniki lansu, których jestem wielką fanką.

Im bardziej od niechcenia i im bardziej malowniczo – tym lepiej. Mimo sporej różnorodności wystarczy się przyjrzeć, żeby wyróżnić kilka wspólnych dla Otryckiego lansu elementów, a nawet dominujące trendy. Przyjrzyjmy się Otryckim trendsetterom – bo jak się okazuje, wielu z nas zrzuciwszy uniformy pozwala ujrzeć światłu dziennemu piórka niebieskiego ptaka. Pozwolę sobie dokonać tu krótkiego przeglądu przedstawicieli tego egzotycznego gatunku.

PARTYZANT ZE SPALONEGO LASU



Dominuje wzór moro, urozmaicony czasem fantazyjnym dodatkiem – nożem, względnie skórzanymi bransoletami.



HRABIA von GORETEX

Pierwszy człowiek w Polsce, który miał komplet garderoby z goretexu. Obcisłe polarowe spodnie odważnie zestawione z dużym polarem i fantazyjną kolorową czapczką. Entourage'u dopełniają najświeższe nowinki z salonów sportowych: Don Gore gdy doczeka się wreszcie porządnego mrozu poniżej 20 stopni, udaje się do lasu karpinińskiego na noc, aby wypróbować sprzęt.



NIZINNY GÓRAL



Odważna kombinacja stylów: czerwone polarowe kalessony, czasem – kolorowe pantaloony (rzucik a la beztrioskie początki lat 90-tych), gigantyczne buty, stylowy bezrękawnik BMF – Simpson i nieodłączny góralski kapelus. Akcesoria: harmonijka.



OJCIEC POLSKIEJ POEZJI

Fantazyjna, starannie pielęgnowana broda a la Jan Kochanowski (mamy nadzieję, że jeszcze odrośnie!), koszula w kratkę odsyłająca nas do studenckich proveniencji Chaty i nieodłączna fajka. Kawy?



ORANŻ JEDNĄ MA TWARZ



Modę na kolor pomarańczowy, która podbija Otryckie salony (na fotografii: Salon Apollina), rozpoczął Andrzejek. Tu – w wersji guerilla.. (musicie uwierzyć: koszulka i okulary są... pomarańczowe!)